



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PIERWSZY FIOLEK.



Witam cię, pierwszy miluchny fio-
[leczku,
Witam z radością: Jak się masz
[kwiateczku!
Choć się ukryłeś w zacisznej
[ustroni,
Ja cię znalazłam, znalazłam po-
[woni.
Witaj nam, witaj, kwiateczku uro-
[czy,
Každy z rozkoszą zwraca na cię
[oczy,
Znana twa skromność, nie żądasz
pochwały,

Mimo to zna cię i ceni świat cały.
Przybywasz na świat z ciepłym tchnieniem wiosny,
Ku tobie słońce śle uśmiech radosny.
Rozweselając ziemię i niebiosy,
Pieści cię wietrzyk, poi biała rosa.
Wszystko cię wita radośnie, wesoło,
Rośnij więc, kwitnij, léj zapach w około,
Ozdabiaj ziemię, którać życie dała,
Ku chwale Bożej służ, roślinko mała!

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowiadanie **Teresy Jadwigi.**

I.

NA MORZU I NA LĄDZIE.

Wody zatoki Botnickiej były niespokojne, niebezpiecznie było puszczać się w podróż statkiem, tem więcéj, że i nie-

bo rozpostarte nad zatoką było zasępione, czarne chmury zbierały się na niem coraz liczniéj, grożąc słońcu, że je zakryją,.. Mimo tych złych wróżb, po zatoce posuwał się jednak okręt, kierując się wprost ku stałym brzegom Szwecyi; na pokładzie okrętu widać było gromadkę ludzi, grożąca burza zapewne zwabiła ich tutaj: stali, patrzyli to na niebo coraz czarniejsze, to na wody zatoki coraz bardziej niespokojne, to na siebie i wzrokiem zdawali się pytać wzajemnie:

— Stanież się nam co złego?

Prócz téj gromadki skupionéj, beczynnéj, mierzącej myślą i wzrokiem grożące niebezpieczeństwo widać było jeszcze na pokładzie krzątających się majtków okrętowych, którzy, biegając to tu, to tam, spełniali rozkazy kapitana, a spełniali je milcząco i pośpiesznie, nie rozmawiając z sobą; na pokładzie okrętu rozlegały się tylko od czasu do czasu krótkie, treściwe, ale donośne rozkazy kapitana i odgłos szybkich kroków.

W pośród mężów stojących na pokładzie wyróżniała się postać niewieścia, wyniosła i piękna, wspaniale przybrana, którą otaczało niezwykle uszanowanie; wszyscy trzymali się od niej w pewném oddaleniu wskazującym nieśmiałość; rzekłbyś, że ona to monarchini, a tamci, to jéj dwór. Lecz mimo majestatu, jaki ją otaczał, na twarzy jéj cienia dumy nie było, tylko na czole jaśniał rozum, a w oczach wielka bezgraniczna dobroć. Była to młoda niedawno poślubiona małżonka księcia Jana brata króla szwedzkiego Eryka. Wśród téj gromadki, wyglądała niby słońce wśród planet, wszystko kuliło się koło niej, ku niej zwracało, promienia jéj oczu prągeło, jak pragną planety promieni słońca, lecz ona wzrok swój zwracała to ku skalistym brzegom Szwecyi, to na niespokojne wody zatoki, to wreszcie na stojącą najbliżej niej małą postać niewieścia, przypominającą wzrostem siedmioletnie dziecko; miłą widać jéj sercu, bo wtedy w oczach jéj świecił jakiś ciepły promień, zdający się mówić, że lubi biedną karlicę, gdy w pierw malował się w nich tylko niepokój.

Okręt pochyłał się w jedną lub drugą stronę, wody zatoki bujały nim, jak niańka kolebka, mimo to wszelako posuwał się ciągle w jednym kierunku, bo silna dłoń sternika umiała nim kierować, zbliżając go powoli do kresu podróży. Naraz w powietrzu zawył wicher silny, począł szarpać roz-

piętymi żaglami, okręt zakolysał się mocniej, zmacone wody rzucały nim teraz, niby piłką, na pokładzie podniósł się popłoch i lament, kobiety zaczęły płakać, mężczyźni wyrzekać, lecz niewiasta, która w pośród nich przednie miejsce zdawała się zajmować, nie uległa ogólnemu wrażeniu, z zamkniętych jej ust ni skargi, ni jęki nie wychodziły, tylko, gdy wicher silniej okręt poderwał, zwróciła się do karlicy i dłón na jej ramieniu położyła.

— Módlmy się Dorotko — rzekła.

Poczem zgięła kolana i podniósłszy wzrok w zachmurzone niebo, śpiewać zaczęła pieśń pobożną.

Ta, którą nazwała Dorotką, idąc za jej przykładem, ukłękła także, a za nią wszyscy otaczający.

Wicher wył głośno i bałwany rozbijały się z głuchym trzaskiem o ściany okrętu, głosy natury nie zagłuszyły jednak pobożnego hymnu klęczącej gromadki, wzbijał się on ku niebu potężny, choć cichy. Wtém na pokładzie ukazało się kilku nowych przybyszów, wyszłych z głębi kajuty.

Naprzodzie stał pośród książe Jan mężczyzna dorodnej postawy, strojniej od innych przybrany: w obcisłej sukni złotem naszywaniej, w jedwabnym kaftanie, na którym drogocenne guzy świeciły; w kapeluszu, z kosztownymi strusiami piórami. Hardo podniesiona głowa i oddalenie, z jakim się trzymali od niego ci, co mu towarzyszyli, świadczyły, że on wyższe od nich zajmuje stanowisko. Gdy zbliżyli się do klęczących, przystanęli z uszanowaniem, nie chcąc widocznie przeszkadzać ich modlitwie, a ten co szedł przodem, zdjął nawet kapelusz; lecz niewiasta, która pierwsza zanuciła hymn pobożny, pierwsza też ich dojrzała i gdy przebrzmiała ostatnie słowa pieśni, powstała, a zwróciwszy się ku temu, co prowadził drużynę, spokojnym rzekła głosem:

— Burzę będziemy mieli.

On zbliżył się do niej, położył dłón na jej ramieniu.

— Już ją mamy — odparł z łagodnym uśmiechem — czy lękasz się burzy, Katarzyno?

— Czyż mogę się lękać jej, gdy przy mnie jest dzielny mój pan i małżonek, a nademną Bóg — rzekła Katarzyna, podnosząc pełne ufności spojrzenie na męża.

Odpowiedź ta podobała się widocznie mężowi, gdyż pochylił się z uśmiechem, i tkliwy pocałunek złożył na czole żony, poczem pośpieszył znowu do kapitana okrętu, z którym rozpoczął narady.

Burza coraz srożej szalała, bez grzmotów i piorunów, lecz z wichrem i nawałnym deszczem. Wiatr poszarpał żagle; fale pchane jego siłą, biły z wściekłością o ściany okrętu; mimo to, posuwał się on zwycięzko; jęki i płacze ucichły powoli na pokładzie, podróżni oswoili się z grożącym im niebezpieczeństwem, mniej straszném wydawało się im ono, a może przykład odważnej Katarzyny, która po oddaleniu się męża znowu ukłękła i z ufnością pobożny hymn nuciła, oddział na nich, wszyscy znów koło niej klęczeli, wzywając opieki Pana Zastępów.

Nareszcie po kilku godzinach wiatr uciszać się począł, wody zatoki uspokoiły się, słońce wyjrzało z za chmur i okręt równo posuwać się począł.

Znużeni doznaniem wrażeniami, podróżni oddalili się do kajut, lecz Katarzyna została na pokładzie, a przy niej wierna i nieodstępna jej Dorotka. Naprzeciw nich wdali piętrzyły się posępne skały, obie kobiety przypatrywały im się z trwogą.

— Czemu, czemu Dorotko, widok tych skał tak posępnym mi się wydaje? — rzekła nagle Katarzyna, zwracając się do swjej towarzyszki — sprawiają mi one takie wrażenie, jak gdyby wśród nich tylko smutni i nieszczęśliwi ludzie mieszkali.

— I na mnie również — odparła Dorotka, boję się ich, lękam; zdaje mi się, że płyniemy do ziemi łez i niedoli.

— Kraj mój smutne sprawia zdala wrażenie — ozwał się naraz z nimi wesoły, czysty głos męski i Katarzyna ujrzała zbliżającego się męża.

Dosłyszał on słowa Dorotki, widocznie był im nierad.

— Nie lękaj się go wszakże — mówił dalej — nie tak ponurym jest jak się wydaje. I w Szwecyi latem szumią lasy i pola, łąki się śmieją cicho, szemrzają strumienie i napotkać też można ludzi szczęśliwych.

— Smutne przywidzenia już pierzchły, widok twój rozproszył je — odparła z uśmiechem Katarzyna — mów mi teraz o twym kraju i braciach.

Mąż wtedy począł wymownie kreślić piękności Szwecyi, swego kraju.

Zamyślonym wzrokiem, lecz już nie smutnym, wpatrzona Katarzyna w ponure skały, za zatoką się rysujące, słuchała męża i pytała siebie w duszy, jak jej też będzie w tej nowej ojczyźnie.

Po kilku godzinach drogi, okręt dobił wreszcie do przystani, podróżni powitali ład okrzykami radości i na brzeg pośpieszyli, gdzie czekać miały na nich liczne sanie. Lecz jakież było ich zdziwienie: gdy jedne tylko zastali. Nie mogli pojąć, co się to stało... Różne, różne przypuszczenia przychodziły do głowy młodemu małżonkowi, który zamówił konie dla całej swjej drużyny ale nie mówił wszakże o nich nikomu, lękając się uczynić przykrości Katarzynie.

Kryjąc więc gniew i smutek, jaki w jego sercu wrzał, poprowadził żonę do sanek.

— Jakaś pomyłka zaszła — rzekł — może spotkamy po drodze więcej koni i ludzi, lecz czekać niepodobna, bo grozi nam druga burza na lądzie.

Katarzyna zajęła w milczeniu miejsce na saniach, lecz gdy mąż siadł w bok niej, wychyliła się, i skinąwszy na Dorotkę, rzekła:

— Ciebie nie zostawię, siadaj z nami, niewiele miejsca zabierzesz.

I podała rękę karlicy, która przy jej pomocy wdarła się na stopień i jak małe dziecko u nóg jej usiadła... Ruszyli w drogę, a za nimi cały ich orszak szedł pieszo, dzwigając swoje tłumoczki; sanki posuwały się tak wolno, że piesi mogli im nadążyć. Burza w istocie groziła, wiatr zrywał się i rzucał ludziom w oczy śniegiem, utrudniając podróż i tak już ciężką bez tego, trzeba było bowiem brnąć w śniegu po kostki, walczyć z mrozem i głodem; o spoczynku, posiłku, ogrzaniu przy kominkowym ogniu ani marzyć było można, bo kraina, jaką przebywali, była zupełnie pustą. Mąż jechał chmurny, nie opowiadał już Katarzynie o przeszłości Finlandyi, nie malował jej piękności, smutne myśli go obległy...

Katarzyna nie przerywała jego milczenia, a tem mniej Dorota, obie ze strachem rozglądały się po pustej śnieżnej krainie, którą nagie, ponure otaczały skały, a złe przecucia, jakie je dręczyły na okręcie, wzmogły się tutaj. Idący pieszo za saniami również chmurni i posępni byli, cały ten pochód raczej na pochód pogrzebowy wyglądał, niż na weselny, a przecież małżonkowie odbywali pierwszą swą podróż po kraju. Niepięknie przedstawiła się młodej kobiecie nowa jej ojczyzna. Wiatr zrywał się coraz silniejszy, wieczór zapadał, robiło się ciemno i zdawało się chwilami, iż z wyciem wicheru mieszają się głosy wilków i dreszcze trwogi przebiegły podróżnych...

Wtem wdali zamigotało kilka światełek, na ich widok chmurna twarz męża rozjaśniła się.

— Ocaleni jesteśmy — rzekł — dojeżdżamy do jakiejś wioski, której nazwisko mi nieznane, każę się tu zatrzymać, noc więc spędzimy pod dachem, a jutro równo ze świtem wysię gońca do Abo, by nam ludzi, sani i futer przysłano.

— To i dobrze, troska spadnie ci z serca — odparła Katarzyna — tak smutnym byłeś, tak milczącym, że mnie odwa-ga opuszczać zaczęła.

— Nie trać jej, najmilsza — odparł mąż — to tylko chwilowa przykreść, potem czeka nas szczęście długie, niczem nie zmacone... Ty musisz być szczęśliwą, Katarzyno, ja chcę tego; ty musisz być najszczęśliwszą z wszystkich sióstr twoich.

— O nie mów tak, słowa twoje za śmiało — szepnęła Katarzyna, i trwożnie przytuliła się do męża. — Czy nie wiesz, że od woli Boga wszystko zależy... A jeśli Bóg nie zechce...

II.

Szybko minęła wiosna w Abo, jak zwykle w północnej Szwecji, liście opadły z drzew, pożółkły trawy, śnieg pokrył pola i łąki, głucho, smutno było na ziemi, lecz nie czuła się smutną Katarzyna, z każdym dniem była ona bardziej szczęśliwą, z każdym dniem lepiej, serdeczniej kochała męża, z każdym dniem więcej go ceniła... Bo jakże było go nie kochać: dobry, rozumny, sprawiedliwy, nietylko żony serce zyskał, lecz ludu całego... Rok właśnie dobiegał, jak Katarzyna poślubiła syna Gustawa Wazy, książę postanowił rocznicę ślubu obchodzić uroczystie, zaprosił panów z Abo i z okolic do siebie, ludowi zapowiedział, iż ucztę mu wyprawi. W dzień rocznicy ślubu na zamarzniętych lodach zatoki Botnickiej ludno było i gwaro od rana: smolne becзки paliły się nad jej brzegami, a czerwone płomienie, buchając od nich, przeglądały się w kryształowej powierzchni rzeki; pomiędzy beczkami zatknięte były wysokie żerdzie, przy nich powiewały flagi, które poruszane wiatrem, rozpościerały się i ukazywały oczom ludu godła stolicy. Postrojeni świątecznie muzykanci przygrywali na instrumentach dętych i śpiewali pieśni narodowe, a na zatoce snuły się roje maleńkich sanek, pchane przez dworzan książęcych; w sankach tych siedziały strojne kobiety, obok nich ślizgali się na łyżwach synowie i córki pierwszorzędnych domów Abo, a w pośrodku zatoki na krzesłach, stojących na wzniesieniu, szkarłatnym suknem zasłanem, siedzieli Jan i Katarzyna, w okół nich starsi urzędem i wiekiem panowie.

Lud zebrany nad zatoką, przypatrywał się zabawie panów, dla niego stały w pobliżu beczek smolnych, stoły jadłem i napojami zastawione, lud kupił się koło nich, jadł chciwie zastawione przysmaki i wznosił na cześć książęcej pary głośne toasty, które mieszały się z głosem trąb i piszczałek, z gwarem lecącym od zatoki. Wesoło tu było, głośno i ludno, szczęśliwa dziś bardziej niż kiedykolwiek Katarzyna, to z uśmiechem zadowolenia przypatrywała się zabawie dworzan i młodzieży, to ludowi wzrokiem dziękowała za toasty, wznoszone na jej cześć, to spojrzenie na męża podnosiła, by mu oczyma powiedzieć:

— Jestem bardzo szczęśliwą Janie, bardzo szczęśliwą.

A gdy tak wszyscy bawią się i cieszą, na drodze wiodącej z Abo do Sztokholmu jeździec jakiś się ukazał. Zrazu nikt go nie spostrzegł, lecz po chwili ktoś z ludu zwrócił w tę stronę spojrzenie i rękę ku niemu wyciągnąwszy, pokazał go innym. Lud się rozstał, tworząc drogę dla przybywającego, lecz gdy jeździec już był tuż prawie miejsca zabawy, naraz kupił się i drogę zamknął. Jeździec nie zatrzymał się wszakże, wpadł z koniem na tłum.

— Precz z drogi! — krzyknął — z poselstwem od króla Eryka do księcia Jana śpieszę.

Głuchy pomruk, przypominający ryk podrażnionego lwa, przebiegł po tłumie, a imię Eryka w tym pomruku słychać było... Rozstał się wszakże tłum i drogę jeźdźcowi otworzył, nawet ktoś krzyknął za nim:

— Księcia na zamku niema, na zatoce jest.

Jeździec nie podziękowawszy za wskazówkę, popędził ku zatoce, lecz gdy zbliżył się do niej, strażnicy pilnujący tu porządku, zagroździ mu drogę.

— Od króla Eryka do księcia z poselstwem jadę — powiedział im znów jeździec, strażnicy nie ustąpili jednak.

— Zsiądź z konia a poprowadzimy cię — odparł jeden.

Jeździec rad nie rad spełnił ten rozkaz, oni otoczyli go ściśle, jeden konia jego zabrał, inni skierowali się z nim razem na zatokę i poprowadzili do miejsca gdzie siedzieli Jan i Katarzyna, a stanąwszy przed szkarłatnym wzniesieniem, oznajmili, że poseł króla Eryka pragnie mówić z księciem.

Jan i Katarzyna pobledli oboje, lecz kryjąc wzruszenie, Jan kazał podać sobie list brata, a gdy mu go podano, rozlał śpiesznie pieczęcie i przebiegł śpiesznie oczyma, poczem zwrócił się do żony, pochylił się ku niej i rzekł cicho:

— Eryk wzywa mnie, jechać muszę, ty Katarzyno zostań tutaj, nasze troski nie powinny klócić wesołego dnia poddanym. To powiedziawszy, skinął żonie głową i zszedłszy z rusztowania, skierował się ku ładowi, a za nim kilku panów.

Na brzegu czekały książęce sanki, któremi Jan przyjechał tutaj parę godzin temu z żoną, szczęśliwy, spokojny, teraz wsiadał do nich chmurny, zgnębiony, kazał woźnicy jechać do stolicy Szwecji, za nim podążyły inne sanki, do których wsiadł najmłodszy brat jego Magnus, bawiący obecnie w Abo, a z nim kanclerz państwa.

(d. c. n.)

DOLINA PRĄDNIKA.

O kilka mil od Olkusza, dawnych kopalni srebra dziś zalanych wodą, około uporządkowania których przed kilku laty rozpoczęto roboty, ciągnie się bystra rzeczka Prądnikiem zwana, pośród rozkosznej doliny otoczonej jodłowemi i modrzewiowemi lasami rozsianemi po wzgórzach, gdzie steroczą również skały o dziwnych kształtach, słynne pieczarami pełnemi stalaktytów. Pieczary te są również siedliskiem nietoperzy, których odwieczne składy nawozu zakupione niedawno przez obcych przybyszów, używają obecnie pola niemieckie. W pośród doliny Prądnika z której zamierzamy dawać szereg widoków, wznoszą się zwaliska zamku Ojcowa, zamek Pieskowa Skała i pustynia św. Salomei, wszystko opisane dawniej w Wieczorach, a następnie pełno chat wieśniaczych, młynów i tartaków obracanych przez Prądnik, który jakkolwiek nader wąskiem płynie korytem, na wiosnę wszakże umie zaleść rozlewając szeroko swe wody. Cudne widoki roztaczające się dokoła sprawiły, że nadano tej okolicy miano małej Szwajcaryi. Powietrze czyste i przesycone wonią lasów szpilkowych sprowadza tu w lecie mieszkańców miast i Ojców, zwłaszcza przy staraniach miejscowego zarządu, mógłby się stać z czasem bardzo przyjemną krajową stacją klimatyczną.

POGADANKA NAUKOWA.

Powietrze.

— Więc dzisiaj mówić będziemy o rzeczy bardzo zwyczajnej, o powietrzu, nieprawdaż panie Witoldzie — zagadnęła Helena.

— Dobrze, niechże mi więc panna Helena wypowie, swoje wiadomości o powietrzu.

— Jest to mieszanina dwóch gazów... — zaczęła Helena.

— Tlenu i azotu — wtrącił Kazio.

— Bardzo dobrze, i cóż więcej?

— Co więcej? — powtórzył Kazio. — Gazy te zmieszane są z sobą zawsze w równych proporcjach, naprzykład na sto części powietrza znajdujemy około dwudziestu jednej części tlenu i siedmudziesiąt dziewięć azotu. Wiem także, iż powietrze zawiera w sobie kwas węglowy.

— A może panna Helena powie mi, z kąd pochodzi ów kwas o którym wspomina Kazio.

— Z rozkładu i przemiany różnych materii organicznych — odparła. — Człowiek naprzykład oddychając, wciąga w siebie tlen a wydycha kwas węglowy. Rośliny znów pochłaniają w dzień kwas węglowy, a tlen wydychają.

— Świetnie, wyrachowano nawet, że każdy człowiek dziennie wydaje eddychając cały kilogram kwasu. A kto mi powie jakie pierwiastki wchodzi w skład jego?

— Węgiel i tlen — odpowiedzieli jednocześnie Kazio i Helenka.

— Ja nie rozumiem doprawdy — odrzekła Helenka — jakim sposobem ludzie potrafili wyrachować, ile w powietrzu znajduje się tlenu, a ile azotu.

— Za pomocą bardzo czułych wag, wielkiej staranności w prowadzeniu doświadczeń, wreszcie za pomocą kilku odczynników chemicznych. Nie podam wam szczegółowo opisu analizy powietrza, chcę wam tylko wyłożyć ogólne zasady. Przedewszystkiem należy zważyć banię szklaną napełnioną powietrzem, a następnie przyśrubować do maszyny pneumatycznej i wypompować z niej powietrze i zważyć powtórnie.

znów wilgoć. W najczystszej zaś powietrzu znajduje się zawsze trochę par wodnych. A pojmuje pani, panno Heleno, że chcąc mniej więcej ściśle określić stosunek tlenu do azotu, należy usunąć z analizowanego powietrza wszystkie domieszki. Skoro już wszystkie rurki są z sobą połączone za pomocą beków gazowych grzejemy rurkę z miedzią; metal ten, natychmiast pod wpływem podwyższonej temperatury, łączy się z tlenem tworząc tlenek miedzi; potas zagarnie kwas węglowy, kwas siarczany zabierze pary wodne, a zaś azot sam zostanie w szklanej próżnej bani. Jeśli po skończonej operacji zważymy powtórnie wszystkie służące nam do analizy rurki, z podwyższonej ich wagi obliczymy ilość azotu, tlenu i t. d.



Dolina Prądnika.

— A różnica w wadze da nam wagę powietrza zawartego w szklanej bani, nieprawdaż panie profesorze? — odezwał się Kazio.

— Tak jest. Otóż taki próżny balon łączymy za pomocą kauczukowej rurki szklaną rurkę, także z powietrza uwolnioną, w której zamknięto kilka kawałków czystej miedzi. Do drugiego końca rurki przyczepiona rurka kauczukowa prowadzi do kilku innych rurek szklanych, zagiętych w kształcie litery V; z tych dwie napełnione potasem a resztę dajmy na to dwie lub trzy, chlorkiem wapnia lub kwasem siarczanym. Wszystkie te przyrządy przed zaczęciem doświadczenia zważone są jak najskrupulatniej.

— A do czego służyć może ów potas lub chlorek wapnia? — zagadnęła Helenka.

— Potas ma tę własność, że chciwie wciąga w siebie kwas węglowy, zaś kwas siarczany oraz chlorek pochłania

z rachunków chemików wynikły ilości zawartych w powietrzu tlenu i azotu podane przez Kazia.

— A miedź ani potas, ani kwas siarczany nie łączą się z azotem? — spytała Helenka.

— Nie, panno Heleno, azot jest ciałem które zachowuje się dość obojętnie podczas różnych reakcji chemicznych, stąd nazywamy go ciałem ze słabym powinowactwem chemicznym.

— Wszak przy oddychaniu azot nie jest nam potrzebny? — spytał Kazio.

— Owszem — odparł pan Witold — gdybyśmy oddychali samym tlenem, spalilibyśmy się, tlen bowiem który wciągamy w siebie łączy się z cząsteczkami węgla zawartymi w krwi naszej, a to połączenie tworzące kwas węglany wywołuje ciepło; im więcej byłoby tlenu, tem więcej łączyłoby się z nim cząsteczek węgla, co podniosłoby temperaturę do tego

stopnia, że człowiek znieśćby jej nie mógł i przyczyną jego śmierci byłoby spalanie tkanek bez płomienia, czyli utlenienie. Azot niejako reguluje ilość oddychanego tlenu, jest nam więc potrzebnym pośrednio. Lecz w powietrzu znajdujemy jeszcze inne domieszki, naprzykład chemiczne połączenia azotu z tle-

bakteryami, mirjady zarodków pleśni, wodorostów, grzybków których istnienia nikt się nie domyślał do chwili wynalezienia mikroskopów w XVI wieku.

— Niech nam pan pokaże powietrze pod mikroskopem — prosiła Helena.



Dzisiejszy król Nepalu.

niem, które głównie wywołują iskry elektryczne; dla tego to wody deszczowe, spadłe podczas burzy, zawierają w sobie trochę tlenków i tleników azotu. W powietrzu znajdujemy wreszcie połączenia azotu z wodorem czyli amoniak, ozon czyli tlen zgęszczony, różne drobniotkie cząsteczki soli mineralnych, wreszcie miriady mikroskopijnych jestestw zwanych

— Byle tylko nie czyste powietrze — zaśmiał się profesor — bo gazy i pod mikroskopem nie mają kształtów, co zaś tyczy zarodków i wszelkich stworzonek gołym okiem niewidzialnych, tych przygotuję wam kolekcję, którą kiedy wolnym czasem obejrzymy. Dzisiaj przypomnę tylko jedną własność azotu i kwasu węglowego, oto obydwie te gazy nie

podtrzymują palenia, jeśli naprzykład w naczynie napelnione jednym lub drugim gazem wsuniemy płomień świecy, zgaśnie ona natychmiast; przeciwnie dzieje się z tlenem, który podtrzymuje świetnie palenie; jeśli bowiem do próbówki z tlenem przytknę świeżo zgaszoną zapalną, czerwony, rozżarzony jej koniuszeczka wnet wybuchnie silnym płomieniem.

— Dziękujemy panu profesorowi, za objaśnienia — odezwała się Helenka — a o czym pogadamy w przyszłą niedzielę?

— Może o znikłych z powierzchni ziemi zwierzętach — zaproponował pan Witold — dotąd mówiliśmy prawie wyłącznie o chemii, niechże teraz przyjdzie kolej na Paleontologię, czyli naukę o zwierzętach i roślinach kopalnych, w głębi ziemi spoczywających. Zgoda?

Dzieci propozycje przyjęły; pożegnały czynnego profesora.

Młody przyjaciel dzieci.

Wśród gór Himalajskich.

Na pograniczu Środkowej Azji, otoczone łańcuchami nieprzebranych gór i szeregiem bagnistych lasów których trujące wyziewy, w pewnych zwłaszcza porach roku, działają zabójczo na organizm ludzki, leży maleńkie królestwo Nepalu, jedyny kraj który w ciągu ostatnich wieków uniknął jarzma zarówno Chińczyków jak Anglików. Zachował on swoją niepodległość, z powodu że strzegły go szczyty wzniesione przez naturę, silniejsze od wszelkich ochronnych wałów, ręką ludzką zbudowanych. Przeszedłszy bowiem śmiercią zięjące bagniska, wojska nieprzyjacielskie napotykały olbrzymie góry himalajskie, tworzące najczęściej strome ściany, które tylko obchodzić można wąskimi ścieżkami wyciosanymi na ich krawędzi. Nepal mieści się w dolinie otoczonej szczytami, wśród których odznacza się Mont Ewarest czyli Geurisanekar, najwyższy na kuli ziemskiej szczyt, *) dwakroć wyższy od Mont-Blanc. Ze wszystkich punktów doliny widać tego króla gór, którego wierzchołka jeszcze ludzka stopa nie dotknęła.

Stołeczne miasto Nepalu, Katmandui, posiada około 600 świątyń poświęconych różnym bóstwom indyjskim, a oprócz tego pałac króla, młodego chłopca, którego dajemy obecnie wizerunek, i mnóstwo innych umeblowanych na sposób europejski, meblami sprowadzonymi wielkim kosztem z Indji angielskich, porzastawianymi wszakże bezładnie, gdyż na wpół dzicy mieszkańcy, nie znają po większej części ich użytku. Za małoletniego króla rządzą ministrowie mający prawo życia i śmierci nad podwładnymi swymi. Odsobnieni od cywilizowanego świata, Nepalczycy zachowali dawne obyczaje zwyczajne i ubiory. Przemysł stoi tu na bardzo niskim stopniu, wyrabiają jednak tkaniny wełniane i bawełniane, papier, ozdoby ze złota i srebra, przedmioty żelazne i broni. W całym tym niewielkim kraiku, mającym 200 mil długości a 40 szerokości, rozciągają się widoki najcudniejszej przyrody. Stoki gór pokrywa bujna roślinność, podczas gdy wierzchołki ich połyskują lodem. Drzewa rosnące w górach należą do najpiękniejszych w świecie, wśród gałęzi o dużych liściach lub iglastych z rodziny jodeł, igrają całe stada małych, rozpadliny i jaskinie w skałach służą za schronienie lisom, niedźwiedziom lampartom i tygrysom. Pod palcami promieniami słońca wyrzewają się rozliczne gatunków węże, ogromne żwawe jaszczurki przebiegają wśród traw na wilgotnym gruncie, tysiące motyli o świetnych barwach ulatuje wśród najcudniejszych kwiatów. Rzeki zawierają mnóstwo ryb i zwierząt ziemnowodnych, lasy są pełne bażantów i innych ptaków o świetnym upierzeniu, wpośród świergotu których rozlega się pianie kogutów i gdakanie kur, które żyją tu dziko stadami całymi jako

*) Według najnowszych wymiarów góra ta ma 28,000 stóp wysokości.

w pierwotnej swej ojczyźnie. U podnóża gór pasą się stada dzikich słoń, na najwyższych ich szczytach zamiast zwierzząt drapieżnych bujają wesoło antylopy i gazelle, oraz dzikie konie i owce, które z wielką zręcznością przesuwają się po wąskich ścieżkach ponad przepaściami. Grunt Nepalu jest bardzo żyznym i wydaje więcej zboża aniżeli go mogą spożytkować mieszkańcy, prócz tego obfituje we wspaniałe lasy i niewyczerpane kopalnie.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Pokazało się, że tak nazywała Juana wodę karbolową, której zapas miał z sobą p. Walery w apteczce podróżnej, będącej pod zawiadywaniem p. Tadeusza. Juana opatrzyła ranę ze starannością, której nic nie miał do zarzucenia p. Tadeusz obecny tej czynności, zapewniła że do tygodnia zablizni się zupełnie, a miss Oliwia, przygładziwszy włosy, zasiadła do wieczery w takim samym humorze, w jakim zazwyczaj bywała i z tym samym co zwykle apetytem składała świadectwo kucharskim zdolnościom Panfila.

— Jutro o tej porze wyjedziemy już z puszczy i zbliżać się będziemy do Tenosique — odezwał się p. Walery. — Sądzę, że musicie być znużeni dziesięciodniową wędrówką wśród lasów?

— Wcale nie! — zabrzmiała ogólna odpowiedź — nie jesteście znużeni bynajmniej!

Mimo to, z radością powitano ostatni dzień podróży. Ku południowi się już miało, rzedniała już puszcza, a z za drzew zieleniała rozległa równina, przerzięta srebrną wstęgą szerokiej i spławnej w tym punkcie Usamacinty, gdy rozszedł się w powietrzu silny a niewymownie przyjemny zapach, przypominający woń kadzidła, które nierozważnie zapalił był Józio w świątyni starego grodu Lorillard.

— *Liquidambar* — odezwał się Benito, z rozkoszą wciągając w nozdrza precudowny aromat drogocennej żywicy, którą dawni mieszkańcy Meksyku palili na cześć bogom swoim. Używały jej także jako wonności kobiety najwyższych rodów pocierając całe ciało cegielką, powleczone warstwą żywicy, której cena dochodziła w niektórych okolicach bajecznej wysokości.

— *Liquidambar* — powtórzył Benito — ale skąd? drzewa nigdzie nie widać? Mało ich rośnie w tej stronie...

I oglądał się na około, szukając oczyma drzewa w rzeczy samej niezmiernie rzadkiego, tak w tej, jak i w innych częściach Ameryki środkowej.

— Znalazłem — dał się słyszeć głos Józia, który zeskoczył z konia — znalazłem, ale nie drzewo, tylko żywicę na drzewie!

— Bo tam zwykle bywa — chciał się odezwać p. Tadeusz, zgorszony tą grubą niewiadomością swego ucznia, który się dziwił, znajdując „żywicę na drzewie”, ale zanim zdążył głos zabrać, Józio znowu wskoczył na konia i podjechałszy do drzewa, stojącego tuż nad drogą, zdjął postawiony w rozdwojeniu pnia niewielkich rozmiarów przedmiot i z ukłonem tak niskim, że twarzą aż dotknął karku konia przedmiot ów Luci doręczył.

— Był to koszyczek wyrobiony z lśniącej i cienkiej jaskiej kory, ozdobiony różnokolorowymi nasionkami i pełen po brzegi białawej, na pół jeszcze płynnej żywicy *liquidambaru*. Kilka wspaniałych piór *quetzal'a* dopełniało daru, którego pochodzenia tém łatwiej było się domyśleć, że gdy w niespełna godzinę potem karawana zostawała już po za sobą ostatnie drzewa, z ciemnej głębi puszczy odezwał się głośny, smętny, przeciągły znany nam okrzyk Lakondonów: „chachalaka”!

— Odpowiedz, Luciu — rzekł p. Walery — nie spotkasz ich już pewno nigdy w życiu, a wiernych przyjaciół zawsze cenić należy.

I upoważniona przez ojca, dźwięcznym srebrnym głosi-kiem swoim rzuciła Lucia Lakondonom pożegnalny okrzyk „chachalaka”.

V.

Pobył w Tenosique. — Wyprawa na łodziach. — Pieczeń nad pieczeniem. — Niezwykłe łowy. — Zwierzyniec. — Kłopoty Morilliny. — Palenque. — Spotkanie. — Nocleg w pałacu. — Przybytek boga mądrości.

Nie bez przyjemności ujrzeli się nareszcie podróżni w Tenosique, niby wsi, niby miście, a właściwie osadzie, zamieszkałej przez przemysłowców handlujących drzewem. Usumacinta, której ujście znajduje się nieopodal, przynosi tu na swoim grzbiecie olbrzymie pnie mahoni, cedru oraz innych drzew rosnących w tamtej strefie. Tu dopiero zbijają je w tratwy i znowu powierzają wodzie, która niesie tratwę wraz z dozorcą do sąsiednich portów, gdzie towar znajduje nabywców, a ci już stanowią o dalszym jego losie.

Jak wiemy, przyrzekł był p. Walery staremu przyjacielowi, Don Pepe Mora, że u niego zamieszka, a mógł to uczynić tem łatwiej, że dom w którym przyjął gościć, składa się z kilku niewielkich domków, połączonych z sobą werendami i aż nadto był obszerny na potrzeby zajmującej go rodziny. Czerwonoskóra gospodyni domu, przyjęła przysyłanych jej przez męża gości, jakby od dziecka znała przysłowie: *Gość w dom, Bóg w dom*, i oddawszy na użytek naszej gromadki dwa domki, zawierające każdy po cztery izdebki, skrzętnie się zajęła zaopatrzeniem ich we wszystko, co potrzebnem być mogło dla wygody zdrożonych.

Najpierw pomyślała o kąpeli: przygotowano ją w wannach wydrążonych na wzór łodzi tamtejszych, w grubych pniach cedrowych i dolano do wody odwaru z aromatycznych ziół leśnych. Można też sobie wyobrazić z jaką rozkoszą zanurzyli się podróżni w letniej, miękkiej, pachnącej wodzie! Józio dowodził, że Ulysses nawet nie był gościniej przyjmowany u króla Feaków i że brak mu jeszcze dwóch rzeczy: namaszczenia ciała oliwą i — kolacyi. Benito pocieszył go zapewnieniem, że kolację podadzą niedługo i to wyborną, oliwę zaś chciał zastąpić żywicą *liquidambaru*, ale p. Walery sprzeciwił się temu. Pozwolił tylko chłopcu natrzeć nią trochę dłonie, co też obaj z p. Tadeuszem uczynili i tak wyświeżeni udali się do domku, gdzie stół do wieczery zastawiono.

Lucia i miss Oliwia także pachniały żywicą, co w służbie z krajowców złożonej, budziło dla nich uszanowanie i ciekawość, a i samą gospodynię domu przejmowało zdziwieniem: wonność ta bowiem należy do rzadkich osobliwości nawet w kraju, który ją wydaje, tak dalece ubiegają się o nią Indyanie. Oni też dzięki znajomości miejscowych lasów, stają się wyłącznymi jej posiadaczami, a *senora* Petronilla znając obyczaj ich i przesady, wiedziała, że nie każdego nią obdarzają.

Wieczera, podana na werendzie, była w istocie wyborną: świeże mięso wołowe, w liściach palmowej kapusty na węglach upieczone, smakowało podróżnym, żywiącym się od dość dawna zwierzyną wyłącznie lub *tasajo*, potrawa z jajecznicą z kurcząt miała także ogromne powodzenie, ciepłe jeszcze *tortille* znikły w ognieniu oka, (może dlatego, że kopia-ty ich półmisek stał obok Józia) także sam los spotkał owoce, a nawet dwa duże dzbany mleka do dna zostały wypróżnione.

Pan Walery podziękowawszy gospodyni za uprzejme przyjęcie, oświadczył jednak, że dziś tylko z niego korzysta, od jutra bowiem Panfil zacznie gotować dla swoich państwa w obszerniej kuchni, zajmującej całą połowę jednego z domów, oddanych gościom.

— I tak już zawdzięczamy pani wygody, których bylibyśmy pozbawieni — mówił — a jest nas za wiele, aby pamiętanie o naszych potrzebach nie przysparzało pani zachodu.

Senora Petronilla sprzeciwiała się temu z początku, aż wreszcie stanęła wzajemna ugoda: mięso, kurczęta, jaja Panfil kupować będzie w miasteczku, a w owoce i nabiał ona zaopatrywać będzie podróżnych.

— Ojciec! — z wyrzutem zawołał Józio, gdy się już

u siebie znaleźli — nie było mowy o *tortillach*! Skąd mieć je będziemy? Ja już patrzeć nie mogę na suchary!

Pan Walery, rachunkami zajęty, rzucił tylko synowi krótkie: „Nie przeszkadzaj mi“, co bynajmniej strwożonego Józia nie zadowolniło. Pobiegł więc na naradę do Luci, ale ta już spała w najlepsze, aż wreszcie uspokoiła go Juana zapewnieniem, że ona sama jak dawniej, tak i teraz pełnić będzie tę ważną czynność.

P. Walery i poszedł tymczasem obejrzeć jakie mają pomieszczenie mulnicy, oraz reszta służby i wierzchowce; dla pierwszych przeznaczono szopę z przewiewnymi ścianami z plecionych gałęzi, przypominających nasze płoty; zwierzęta postawiono w podobnie zbudowanych stajniach, gdzie przez dni kilka używać miały zasłużonego wypoczynku, zanim z przewodnikami swymi powrócą do Flores, aby dalej służyć spółnikowi p. Walerego.

Co zaś do podróżującej rodziny, ta odbywać miała dalszą drogę łodziami, puszczając się z biegiem Usumacinty. P. Walery użył kilkodniowego wypoczynku na załatwienie wszystkich przygotowań potrzebnych do nowej wyprawy: zakupił ładzie, zaopatrzył je w potrzebne przybory, przedewszystkiem zaś tak on, jak i Benito postarali się o zręcznych i pewnych wiosłarzy,

Wszystkie te zachody zabrały niemało czasu, aż wreszcie po dniach dziesięciu łodzie były gotowe, pnie mahoniowe należące do p. Walerego zbite w tratwy, a podróżni orzeźwieni wypoczynkiem pożegnali Senorę Petronillę, której za szczerą gościnność postarali się wywdzięczyć rozmaitemi podarkami dla dzieci. Lucia z Józiem odbili pakę z książkami i wybrali z pomiędzy nich te, które malcom przydać się mogły, miss Oliwia posyła im śliczne sukienki poprzerabiane z sukienek Luci, Juana zrobiła dla wszystkich czworga po parze pończoszek, p. Tadeusz sfabrykował im sanki, które wyborne sunęły po stole, grubo nasypanym stęchłą mąką kukurydżową, Benito urządził gimnastykę na wzór tej, którą według wskazówek p. Tadeusza robił niegdyś dla Józia, p. Walery wreszcie ofiarował pani domu ładny zegarek z łańcuszkiem i kolczyki dla dwóch córeczek, a dla chłopców złote spinki do mankietów.

Józio który się od nich wywiedział, że koszule noszą tylko od wielkich uroczystości, twierdził wprawdzie, że matka, przekazując uszy córkom, synom skórę przetnie na rękach i w przecięciu spinki zakładać będzie, ale wiadomą już było rzeczą, że Józio zawsze przekomarzać się lubi!

Słońce nie wschodziło jeszcze, gdy wybrana w podróż rodzina znalazła się na brzegu rzeki. Czekają na nich cztery łodzie, z sześcioma wiosłarzami na każdej. Wydrążone w pniach cedrowych, długie na stóp 40, a na 10 blisko szerokie, wygodnie pomieścić mogły gromadkę złożoną z ośmiu osób, psa i ogromnej ilości pak, koszów, skrzyń i tym podobnych pakunków. Nad każdą z łodzi wznosił się daszek z matpeliczonych z palmowego włókna, pokryty z boków firankami z rzadkiego, przewiewnego płótna, co w dzień bronić miało od dojmującego skwaru, a w nocy od dokuczliwej plagi mustyków, stokrój bardziej krwiożerczych niż komary błot naszych.

Do pierwszej łodzi wsiadły miss Oliwia, Lucia i Juana; do drugiej, pomostem z nią połączonej, p. Walery, p. Tadeusz, Józio i nierozłączny z nim Morill ze swoją czwororęczną wychowaną; na dwóch pozostałych złożono pakunki, nad którymi dozór objeli Benito i Panfil.

— Ruszać! — zakomenderował p. Walery, gdy usadowili się już wszyscy i wolno, miarowym ruchem posunęły łodzie ku środkowi rzeki, by z prądem jej dalej popłynąć.

Brzegi Usumacinty, szerokiem w tem miejscu płynącej łożyskiem, ślicznie przedstawiały widok: w niektórych miejscach strome, górzyste urwisko porastało gęstwiną zieleni, gdzie niegdzie znowu rozstępowały się drzewa, a oczom podróżnych ukazywało się płaskie, błotniste wybrzeże, okryte zieloną trawą, zaludnione rojami ptaków, żyjących na bagnach nadrzecznych.

Tu spłoszone pluskiem wioseł, porwało się ptaszę jakieś, mieniące się lazurem i szkarłatem, i jak strzała mknęło po-

wietrzem, to znowu poważnie brodziły po rozległym trzęsawisku czaple białe, czerwone, bociany tak jak nasze w zadumaniu na jednej nodze stojące, a pośród nich tu i owdzie drzewały potworne kaimany, którym smacznego snu przerwać nawet nie mogły wrzaski małp uganiających się po drzewach.

W parę godzin po wschodzie słońca skwar dopiekać już zaczynał nieznośnie, ale zato cudownie piękne noce wynagradzały podróżnym przykrości dzienne. Na zielonawe tonie rzeki lały się potoki światłości księżycowej i kładły się na nich migotliwą siecią blasków; po fali srebrem tkanej i złotem sunęły łodzie miarowym ruchem kołysane, w powietrzu cisza niczym niezmacona, w nadbrzeżnej puszczy milczenie żadnym odgłosem nie przerwane—cóż za dziw, że serca widzów przejmował nieznanym im dotąd zachwytem, że upajali się z rozkoszą uroczystą poezją wiejącą z tych samotni tajemniczych!

Po czterech dniach takiego życia pomiędzy niebem a wodą, podróżni przybili do niewielkiej wioski San-Pedro, której wójt—szumnie „Gubernatorem“ tytułowany—znajomym był p. Walerego. Zatrzymać się miano u niego przez dni parę, bo p. Walery musiał stąd odbyć wycieczkę do San Juan-Batista, głównego miasta prowincyi, gdzie powoływały go ważne interesa.

Pan „gubernator“ z pochodzenia *metys* *) człowiek ogładzony przebywaniem w wielkich miastach, w których młodość swą przepędził, niezmiernie rad był gościom, których rzadko miewać mu się zdarzało i podejmował ich wszystkim, co tylko najlepszego miał w domu.

Wieś San-Pedro, głównie przez Indyan zamieszkała, słynie z tego, że mieszkańcy jęj żywią się przeważnie mięsem kaimanów. Jadają je też i metysi, bo choć uchodzi za gminną i pospolitą potrawę, smaczne jest jednak i zdrowe.

Nazajutrz więc przy śniadaniu, gdy Józio dobierał po raz drugi jakiejś pieczeni podobnej do cielęciny bardzo białej i delikatnej, don Henryk, gospodarz domu, zapytał:

— Czy wiesz, młodzieńcze, co to za mięso?

— Tuńczyk, zdaje mi się — odparł Józio, przełknawszy z prawdziwą przyjemnością spory kęs nmiemaniej ryby.

— Mylisz się, to pieczeń z kaimana.

Miss Oliwia, która zwyczajem Anglików wołowinę prznosiła nad wszystko, spojrzawszy z wyrzutem i obrzydzeniem na półmisek, na gospodarza domu i na Józia, Lucia aż podskoczyła na krześle, ale Józio, niosąc do ust kęs nowy, odpowiedział najspokojniej:

— Doprawdy? doskonała! Nie jadłem tego nigdy w życiu.

— Mieszkańcy tutejsi nigdy nic innego nie jadają, a słyszy im to wybornie, bo rzadko ludzi tak zdrowych i czerstwych jak oni. Mięso to pożywne i strawne ma jeszcze tę wielką zaletę, że nic nie kosztuje. Rzeki nasze roją się kaimanami, łowi je więc, kto chce.

— Jakże się łowia?—spytał p. Tadeusz, w którym kilkolatni pobyt w Ameryce rozwinął namiętność do wszelkiego rodzaju łowów.

*) Metysami zowią się dzieci narodzone z małżeństwa krajowców z kobietami europejskimi lub na odwrót. (Przyp. Red.)

— Dwojakim sposobem: albo na hak z przynętą, albo ręką.

— Ręką? — z pewnem niedowierzaniem rzekł p. Tadeusz.

— Pan zdajesz się wątpić o tem?

— Nie, skoro powiadasz, senor, że tak jest, ale przyznaję, radbym widzieć coś tak osobliwego.

— Natychmiast po śniadaniu zadowolnię ciekawość pana— rzekł don Henryk, i w rzeczy samej, skoro tylko wstano od stołu, poprowadził nad rzekę gości swoich z wyjątkiem miss Oliwii i Lucii, dla których widowisko podobne niekoniecznie było właściwem.

Przechodząc przez wieś, don Henryk wstąpił do jednej z chat i zawołał z sobą ogromnego wzrostu Indyana. Cyryl chudy był jak szkielec, na ciemnej skórze jego krzyżowały się blizny i szramy, ale wyglądał na siłacza nieładą i odwaga patrzyła mu z oczu.

(d. c. n.)

Łamigłówka kropkowana.

N.... s... W.... u..... t....
P.... k... p....., p....., u.....;
Z ż..... k..... c.... s..... b.....
U..... o.... r..... w.....

Zastąpić kropki literami i odczytać znany wiersz.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Rycerza dla Jodełki z nad Noteci, Kmicica i Wołodyjowskiego.

Z następujących sylab: Chi—de—me—ka—li—ro—
mau — e — su — le — ni — zya — dan — ar — ny — lo — dan — ne —
gua — grin — al — lia — west — lo — zor — fa — hen — yacht — e — ra
ułożyć wyrazy: 1. Rzeczpospolita w Ameryce. 2. Góry we Francyi. 3. Rzeka wpadająca do morza Śródziem. 4. Grupy wysp na Oceanie Indyjskim. 5. Postać z Anhelego. 6. Państwo w Ameryce środkowej. 7. Kraj w Afryce. 8. Nazwa statku żeglarskiego. 9. Opera Wagnera. 10. Prowin-cya w Prusach. 11. Postać z ballady Alpuhara. — Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą pseudonym niezwykłej autorki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Szarady: Rze — ka.

Zadania konikowego:

Westchnę serdecznie, a modlitwy moje
Niebieskie niechaj przenikną podwoje.

(Wiersz J. Gaw. „Moje marzenie”).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Pierwszy fiołek, wiersz (z drzew.) — Królowa szwedzka, p. Teresę Jadwigę. — Dolina Prądnika (z drzew.) — Pogadanka naukowa p. młodego przyjaciela dzieci. — Wśród gór Himalajskich (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Polowanie na tygrysy (z drzew.) — Ziunia; wiersz p. Ż. M. — Dobry przykład p. H. T. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy, p. A. Do. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść przez Karolinę Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



POŁOWANIE NA TYGRYSY.

Kto pilnie uczy się geografii, ten wie dobrze, że na południu Azji, znajduje się kraj rozległy zwany Indjami, a w kraju tym między innymi zwierzętami znajdują się słonie i tygrysy.

Słoń jest jednym z najrozumniejszych zwierząt; pomimo olbrzymiej siły zastosowanej do jego własnej wielkości, nigdy nic złego nikomu z ludzi nie robi, chyba że jakiś zły człowiek dokucza mu, bije go, drażni, wtedy i słoń potrafi giętką trąbą pochwycić zuchwalca i rzucić go silnie o ziemię, by odebrać mu nadal ochotę do okrutnych żartów.

Rycina nasza przedstawia polowanie na tygrysy przy pomocy słoni. Tygrys jest to krwiożercze zwierzę, żywiące się zwierzętami na które poluje; rzuca się na nie, rozdziera ostremi pazurami, dusi i pożera ofiarę swą nie gardzi też ludźmi, jeśli napotka ich na swojej drodze.

— To też niebezpiecznie jest przechadzać się po lasach indyjskich. Indyanie tępią usilnie tygrysy.

Dla łatwiejszego polowania, wsiadają na słonie i kierują się w stronę lasów i zarośli, w których zwykle tygrysy przebywają. Natrafili też na kryjówkę tych

dzikich zwierząt; oto tygrys rzuca się na słonia, lecz Indyanin puszcza nań strzałę i zwierzę pada zabite.

Teraz tygryś z rykiem obiega w koło słonia, jednym skokiem uczepiła się wielkiego ucha swego wroga. Indyanin znów strzałę wypuszcza, lecz tym razem zranił tylko tygryś; ta spada na ziemię, zbiera siły do drugiego skoku, gdy wtem drugi słoń ratując towarzysza przygniata ją ciężką, jak konewka szeroką nogą, tygryś leży bez życia, a Indyanie głaszczą i chwają pocziwego słonia, który porusza trąbą jakby chciał im dać poczuć, że pochwały rozumie, albo też pragnie im odpowiedzieć, że spełnił tylko swoją powinność broniąc towarzysza i chlebobadców przed dzikimi tygryśmi. Zabite zwierzęta Indyanie kładą na grzbiet słoni i powracają do domu, uradowani z udanego polowania i z zagłady tak niebezpiecznych dla ich wioski sąsiadów.

A. M.

DOBRY PRZYKŁAD.

— Zobaczysz mamusia, że się od dzisiaj poprawię: już nigdy nie rozrzucę książek, ani kajetów, nie poplamie sukienki, nic nigdy nie zgubię, nie poplamie nic, zawsze będę porządna i o swoich rzeczach będę pamiętała, przekona się mamusia!

Tak mówiła dziesięcioletnia Wicunia siadając na podnóżku, przy fotelu swjej mamy.

Pani Zańska przestała szyc i pogładziła jasnawłosą główkę przytulającą się do niej córeczki.

— Dobrze moja Wicuniu, niechże cię uściskam za takie chwalebne postanowienie. Czy tylko wytrwasz w niem długo?... Bo muszę cię uprzedzić kochanie, że dobry zamiar łatwo powziąć, lecz go dotrzymać trochę trudniej.

— Wytrwam! wytrwam! przekona się mamusia — zawołała Wicunia, pytając po chwili: — A pokoik po Brońci kto dostanie?

Brońcia starsza siostra Wicuni, została przed kilku dniami jako pensyonarka umieszczoną w klasztorze i pokoik jej obok sypialni mamy był teraz pusty.

— Kto zajmie pokoik po Brońci? — odpowiedziała pani Zańska — doprawdy jeszcze nie pomyślałam o tem, bo u nas każdy wygodne ma pomieszczenie.

— A tak, prawda: tatuś ma swoje oddzielne pokoje i mamusia też i braciszki także, tylko ja nie mam swojego kącika!

Pani Zańska rozśmiała się spojrzawszy na żalną minę Wicuni.

— Ho! ho! czego się to mojej córeczce zachciewa: oddzielnego apartamentu? Czy też kiedy widziałaś Wicuniu, aby takie małe dziewczątka miały oddzielne pokoje?... A „swoj kącik“ jak nazywasz, toć przecie masz w mojej sypialni. Czy ci to źle u mnie i zemną?

— Nie źle! bardzo mi dobrze z mamusią! tylko jabym tak chciała... jabym tak pragnęła... ach! mamusi, ty wiesz najlepiej czego jabym chciała... czegobym pragnęła... — mówiła Wicunia, całując naprzemian to ręce, to kolana pani Żańskiej, która wreszcie przychyliła się do jej prośby,

Radość Wicuni nie miała wówczas granic.

— Aha! i ja mam swój własny pokoik! Mamusia dała mi pokoik po Brońci — wołała klaszcząc w dłonie i wnet wszyscy: ciocia Klemesia, która właśnie przyszła z wizytą, bracia: Zygmus, Witoldek i Przemysławek, wszyscy domownicy usłyszeli tę radosną nowinę. Nawet mopsik Milus ją usłyszał, a chociaż coprawda ani odrobiny nie rozumiał powodu uciechy swój małej pani, wszelako widocznie tę uciechę podzielał, gdyż poszczekiwał radośnie i rozmaite zabawne wyprawiał figle.

Przed wieczorem jeszcze łóżeczko Wicuni z sypialni mamy przeniesiono do sąsiedniego pokoiku, gdzie stół okryty niebieską serwetą, szafka, półeczki, parę krzesełek składało świeżutkie i ładnie umeblowanie. W oknie były tiulowe franki, doniczki mirtów, kaktusów, gieranii i klatka z kanarkiem.

— Pamiętaj Wicuniu, że zajmując oddzielny pokoik, masz obowiązek utrzymania w nim ładu i porządku. Służąca tylko zamiecie i wyfroteruje posadzkę, a reszta już do ciebie należy, pamiętaj o tem moje dziecko! — upomniała pani Żańska, wprowadzając córeczkę do jej nowej siedziby.

Wicunia i głośno i w myśli powtórzyła wszystkie przyrzeczenia uczynione przed kilku godzinami.

(d. n.)

ZIUNIA.

„Zimno mi, ach, i głodno, daj co zjeść, panienko.”
Mówiło biedne dziecię patrząc się w okienko,
Gdzie Ziunia stojąc, smaczne zjadała ciasteczko!
„Trzeba dać coś tej maleńkiej, nieprawdaż mateczko?”
Rzekła Ziunia, lecz ciastko do buzi wepchnęła
Bojąc się, by ta biedna ciastka jej nie wzięła.
„A daj jej moje dziecię” mateczka odpowie.
„Kiedy nie mam nic, a nic, nic już co się zowie”,
Rzecz Ziunia i resztę ciasteczka przełknęła,
I stanąwszy przy mamie fartuch w rączkach mięła.
Bo się sama wstydziła, że są dzieci głodne,
A ona ma ciasteczka i sukienki modne.
Więc jeła prosić chociaż o trochę pieniędzy,
By to dziecię ratować od głodu i nędzy.
Mama dziecinie dała grosik i kęs chleba
Lecz rzekła zaraz Ziuni: „Widzisz, jak to trzeba
Skrętnie zbierać grosz każdy, ciastek nie kupować,
Lepiej pieniądze drobne do skarbonki schować,
A potem dzieciom biednym kupić obiad za nie,
To ci radość tych dzieci w serduszkach zostanie.”
Odtąd, gdy Ziuni tata dawał na ciasteczka
Zawsze pieniądz schowała skrzętnie do woreczka.
Kiedy zaś biedne dziecię przyszło do okienka,
Zawsze mu dała grosik dobra już panienka.

Z. M.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY.

P. A. DO.

(Dalszy ciąg).

— Nie śmiej się moja Helenko! proszę cię na wszystko; — całując ją mówiła Lili. Chłopcy zawsze trochę są nieporządni, a zresztą Michaś taki jeszcze mały. Anusia która sypia w naszym pokoju, ma obowiązek tylko pozamiatać z rana; a kurze ścierać i wszystko ładnie poukładać to już do nas należy, Ja to zawsze o wiele prężej i lepiej robię od Michasia; on też przyzwyczał się już do tego, że prawie codziennie za niego posprzątam. Jak tylko wstanie rano i ubierze się, czemprędzej wylatuje do ogrodu, spuszczać się na pannę porządnicką jak mnie nazywa. Potem naturalnie całuje mnie i ściska z wielkiej wdzięczności. Dziś spieszyłam się do kościoła, więc swego tylko gospodarstwa dopilnowałam... Ach Boże! gdyby to mama zobaczyła! dopieroby Michaś dostał pokutę... Zmiłuj się Helenko pomóż mi, bo jak się mamy obudzą i przyjdą tutaj..

Obie dziewczynki rzuciły się z pośpiechem do roboty; sumienie Helenki zapytywało ją pocichu, czy na miejscu Lili byłaby tak dobrą i pocziwą siostrzyczką? Czy usłużyłaby tak chętnie braciom swoim? Czyby dla osłonięciach przed karą: opuściła zabawki, a wzięła się z pośpiechem do nudnego porządkowania? Helenka również pocichutku odpowiedziała swemu aniołkowi, że jest przecież bardzo jeszcze malutka, że Lili o trzy lata starsza od Michasia, a ona prawie najmłodszą jest z rodzeństwa; aniołek na to przypomniał parę wypadków, gdzie pewna panienka posprzeczawszy się o bagatelki z braćmi, cochwila biegała na skargę do mamy... A bo to Staś taki nieznośny—szepiała Helenka aniołkowi... A Helenka bardzo często lubi na złość robić — odpowiadał aniołek. Skończyło się na tem, że nie mając już nic na swoje uniewinnienie, Helenka z zapałem zaczęła zbierać strzępki z podłogi, kamyczki i okruszyny ze stołu, Lili składała sukienki, chowała zabawki, pościierała kurze w dziesięć minut potem królestwo Michasia wyglądało zupełnie inaczej.

— Wyobraź sobie moja droga — mówiła Lili, zamykając szafkę Michasia— że mój szanowny brat potrafi codziennie tak wszystko poprzewracać, jak to dziś widziałas. Ja nawet nie wiem jakim on to sposobem urządza... czasami gniewam się na niego, grożę, że sprzątać nie będę, że mamie pójdę powiedzieć, ale on taką śmiesznie pokorną przybiera minę, tak mnie z uszanowaniem po rękach całuje, że zawsze na niczem się kończy. — No, dzięki Bogu, już mama teraz śmiało wejść może, a my chodźmy do naszych lalek. Tęj blondynki nie znasz jeszcze, dostałam ją od tatusia na moje urodziny, bardzo ją lubię, bo ma prawdziwe sukienki, które dają się zdejmować, nie tak jak u innych lalek, co wszystko mają pozasztywane i pozapinane raz na zawsze i ani w dzień ani w nocy swobody biedaczka nie ma, do łóżka musi iść w jedwabnej sukni.

— To pewno jej kufer z rzeczami? — zapytała Helenka.

— A jakże, ma tu i bieliznę i sukienki do zmiany, i kapelusze i czepeczki, a nawet pończochy! Jeżeli chcesz, rozbierz ją i wdziej jaką inną sukienkę, ma ich cztery. Tamte stare lalki nie są tak bogate, poszyłam każdą po dwie koszulki, spódniczki i po dwie sukienki, ale perkalowe, nie takie ładne jak tej elegantki. Ale to nic nie szkodzi, one są grzeczne i wcale jej nie zdroszczą. Na noc rozbieram wszystkie, daję im nocne koszulki, żeby nie zmarzły, a jak sama przed spaniem pacierz mówię, to wszystkie trzy muszą klęczeć przy mnie.

— Doprawdy? Przecież lalki nie żyją, a tyś taka duża, jakże możesz się tak bawić?

— Ja wiem, że to śmiesznie i niemądrze, ale tak mi przyjemnie razem z mojami córeczkami pacierz mówić; wiesz ty, ja sobie czasami wyobrażam że one są żywemi. Wyobrażam sobie, że pan Bóg nie gniewa się na mnie za to, że tym martwym stworzeniom klęczeć przy sobie każę. Zresztą, pytałam się mamy czy to grzech, a mama mi odpowiedziała, że Pan Jezus dzieci bardzo kocha i mile patrzy z nieba na ich niewinne zabawy; a wtedy tylko się gniewa, jeżeli są uparte lub nieposłuszne.

— Mówiłaś, Lilusiu, że jedna lalka chora?

— A to ta biedaczka, złamała przedwczoraj nogę. Bardzo to był smutny wypadek... nawet z tego powodu gniewałam się na Michasia.

— Ty?

— A tak, o bo mi też okropnie żal było mojej biednej Rózi.

— Jakże się to stało?

— Ja sobie szylam prześcieradło dla mojej najmłodszej córeczki; siedziałam przy lalkach na podłodze i niby to rozmawiałam z niemi, opowiadałam im historyjki, bardzo się dobrze bawiłam. Było to po południu, deszcz zaczął padać, trzeba więc było siedzieć w pokoju. Michaś jak zwykle szukał czegoś między swemi zabawkami i znaleźć nie mógł. Przykrzyło mu się, wyciągnął więc z kąta swego konia na biegunach i dalej—że harce po całym pokoju. Bawił się i rąbał szablą na wszystkie strony, zabijając Turków tysiącami. Nareszcie i to mu się znudziło: przychodzi do mnie z prośbą, żebym mu pożyczyla której lalki, to ją nauczy konno jeździć. Ja naturalnie bałam się, bo koń bardzo wysoki i nie chciałam dać. On mi powiedział, że jestem samolubna, że mam złe serce, że dla jedyne go brata nic zrobić nie chcę, a wreszcie rozplakał się. Żal mi się zrobiło, pozwoliłam mu wziąć Rózię, prosząc na wszystko, żeby się z nią ostrożnie obchodził. Posadził ją po damsku na koniu, przywiązał chusteczką do siodła i powoli jeździć z nią zaczął po pokoju. Ja sama śmiałam się z tego, bo zabawnie wyglądała kiwając się wtył i naprzód jakby jaka prawdziwa amazonka. Wszystkoby się było dobrze skończyło, gdyby nie ta nieszczęśliwa żywość Michasia. Nie podobało mu się takie powolne jeżdżenie, jak też raz rozhuśtał konia... chusteczka się rozwiązała... a moja Rózia, pac! na podłogę. Ja się zerwałam z krzykiem, ale nie mogłam ani kroku zrobić, tak mi się nogi trzęsły. „Nic się nie stało, nic się nie stało“ pocieszał mię Michaś, „nie stłukła sobie nosa, oczy także na swoim miejscu.“ Jeszcze się z niej wyśmiewał szkaradnik! Pomyśl sobie tylko, gdyby takie biedactwo

mogło słyszeć i rozumieć, jakby jej było okropnie! Uspokoiłam się troszkę i pobiegłam, żeby podnieść z ziemi moją kochaną córeczkę. — Podnoszę ją... a tu dzień, dzień, co się sypie... prawa noga strzaskana na drobne kawałeczki! Zaczęłam głośno płakać i całować Rózię, a wtem drzwi się otwierają — mama wchodzi.

— Dopiero Michaś porządną burę dostał!... — przerwała Helenka.

— Ej, nie dostał...

— Jakto? przebaczyła mu wujenka, chociaż ci taką przykrość zrobił?

— Kiedy widzisz... jakby ci to powiedzieć... ja już mam taką naturę, że nie mogę wytrzymać, jak mama lub tata gniewa się na Michasia, zaraz płaczę. W mgnieniu oka przeleciało mi przez głowę, że dosyć już jednego nieszczęścia, pocóż z własnej woli sprowadzać drugie. Kiedy więc mama spytała, co mi się stało, odpowiedziałam, że bawiliśmy się razem z Michasiem i lalka niechcący stłukła sobie nogę. Przecież nie skłamałam, bo Michaś bez mego pozwolenia nie byłby śmiał lalki ruszać.

(d. c. n.)

REBUS.

y y y y y y y y	y	la	y y y y y y y y
y	100	y	y
y	100	y	y la y y
y	100	y	y po y y
y y y y y y y y			y y y y y y y y

Łamigłówka literowa.

ułożyła Szarotka Tatrzańska dla Sarenki Modrookiej.

Ułożyć w kształcie gwiazdki cztery wyrazy dwusylabowe z literą R w środku:

1. Instrument muzyczny.
2. Inne określenie koloru,
3. Święta księga u Mahometan.
4. Pożywienie jedwabników.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go

Zagadki: Ewa—Awe.

Łamigłówki zgłoskowej

1. Słowik. 2. Tarka. 3. Arka. 4. Nippon. 5. Ibis.
 6. Skowronek. 7. Łukasz. 8. Arał. 9. Wanda.
- Stanisław.

Skrzynka do listów.

Królowej Syren K. P. przesyła serdeczne uściśnienie za ułożoną bardzo zręcznie dla niej szaradę, prosząc o inne w tym rodzaju, których rozwiązanie stanowiłyby jakieś wyrazy odpowiednie do odgadnięcia przez ogół czytelników i które przeto mogłyby być drukowane.

Biedna Syreno z fał wiślanych, czy przeziębiałaś w zbyt chłodnej fali, że chorą jesteś, jak donosisz? „Milion“ uścisków przyjmujemy, odpłacając za nie jednym tylko, ale bardzo serdecznym.

Stefanowi K. Niepodobno nam drukować tak długiego listu, z treści jego zresztą, o ile nam się zdaje, nie mogliby korzystać młodzi czytelnicy, bo w tym wieku przy naukach jakie się pobierają niema dość czasu, aby czytać książki z czytelnicy publicznych. Co do wierszyka to w brew zdaniu wymienionych nam pedagogów ośmielmy się twierdzić, że nie kwalifikuje się do druku, a do tego w ogóle przeciwni jesteśmy ogłaszaniu utworów, zwłaszcza rymowanych, tak młodych autorów, którym zalecamy jedynie, aby się tem gorliwiej uczyli, jeśli mają zamiar pracować później na polu piśmienniczym.

Niezmiernie nam miły był listek twój kochany **Papierosiku**. Dziękujemy za zawarte w nim wiadomości, wypracowanie bardzo dobre, ale o tem później... Ściskamy cię serdecznie, gdyby tak można do widzenia!

Dlaczegoż byśmy mieli odmówić **Burce Sławuckiej**, pozwolenia które chętnie udzielamy wszystkim korespondentom? I owszem, Burko, pisuj do siostrzyczek; prosimy tylko, aby listki nie były zbyt długie i abyś zawsze cierpliwie czekała, aż przyjdzie kolej na ich wydrukowanie. Żądany początek powieści wysyłamy,

Czarna Peretko, lepiej późno jak nigdy: otrzymanie twego listu sprawiło nam przed Wielkanocą taką samą przyjemność, jak list sprawiło przed Bożem Narodzeniem.

Jesliśko z Czerwonj Rusi pyta, czy „staruszki“ mają prawo odpowiadać na pytania naukowe. Dlaczegożby nie? Odpowiedź jednak jest ujemna.

Świąteczanie z nad Męciny pošemy początek powieści. Wypracowanie zostanie za nie długo osądzone; ze starannie pisanego listu wnosiśmy, że nie będzie „najgorszem“.

Rusałko z nad Dźwiny. korespondentki przyjmowane są bardzo chętnie w Redakcyi, Serdecznie cię żałujemy, biedactwo z chorą nóżką, sądzimy jednak, że Cieclocinek w samej rzeczy najlepiej ci pomoże.

Nie, nie zostałam zapomnianą **Maryno z pod Garwolina**, chociaż dziwnem się nam wydawało, że od tak dawna nieodzywałaś się do nas wcale. Przerwałaś za to milczenie tak serdecznemi słowy, że ci się za nie uścisk należy.

Juliusza Cezara upoważniamy do zmiany pseudonimu; prosimy jednak, aby się stosował do warunków korespondencyi: to jest, aby listki przeznaczone do druku pisywał na innj ćwiartce niż te na których do nas pisuje. **Synogarliczce z klatki Stasia** dziękujemy za zastosowanie się do tój prośby, która ma na celu umniejszenie nam zachodu.

Kukułka Teplicka może zastosować do siebie, odpowiedź daną **Burce Sławuckiej**.

Chatanawa Matreyi zapisujemy pod pseudonimem który „woli“, jak sam powiada. Mybyśmy jednak woleli, aby chciał *wziąć nie wziąć* tamten drugi, mniej pretensjonalny i łatwiejszy do wydrukowania bez omyłki. Za udzielone nam o sobie szczegóły dziękujemy; podobne doniesienia zawsze nas prawdziwie zajmują. Dziękujemy także za życzenia świąteczne i nawzajem swoje przesyłamy nietylko *Ch. M.*, ale wszystkim naszym czytelnikom.

Benjaminu drogi, jakkolwiek przytoczony przez ciebie powód, dla którego nie „myślisz nawet“ o nagrodzie, dowodzi twego dobrego serduszka, my jednak w przyznaniu nagród musimy się przedewszystkiem rządzić sprawiedliwością i dla tego na poprzednim konkursie tobie się nagroda dostała. I my także myślimy, że tatuś żartował z Benjaminika. Za pamięć o ubogich dzieciach dziękujemy, a **Wesołj Leśmierzance** życzymy zdrowia.

Aniśmy przypuszczali, że **Sroczka z nad Wisłoki** tak podżyła jest sroczką: ma lat *aż* 10! Mimo tak poważnego wieku serduszko zachowało młodociane ciepło, skoro dla zrobienia nam przyjemności ta niemłoda osóбка przysłała nam ułożone dla nas umyślnie zadanie konikowe.

Przyjemnością jest także dla nas owa radość, którą „nawet trudno opowiedzieć“ a której doznała **Góralka**, otrzymawszy nagrodę. Niech ci jej nie maći dziewczeczko niepokój, bo operacya o której mówisz, choć bolesna, nie jest jednak niebezpieczną i raz na zawsze skutecznym jest środkiem. O skowronkach nic tu jeszcze nie wiemy, ale za to śnieg mamy na dachach świeżo spadły.

Niezabudka z nad Chomoru i Paulina O. przysłały dobre rozwiązania. **Cyklista** zaś nadesłał logogryf, który w swoim czasie przejrzymy.

Niezapominajko miła! gdzie mieszkasz? Jesieni kochana! pseudonimu Wróźbiarki nie zmieniałam. Królowo Wr. miłościwa! czy przyjmiesz mnie do grona twych wiernych poddanych? Ukrainko i Róźyczko! o przyjaźń waszą proszę. Czarodziejko! czuję do ciebie wielką sympatyę. Fiołeczku! czy zechcesz korespondować ze mną? Proszę, donieście mi: ile macie lat, jakie imiona wasze i gdzie mieszkacie? Ściskam was serdecznie, życząc waszyskiego dobrego. *Wróźbiarka Szczęścia*.

Milutka Stokrotko z nad Stochodu! Zaliczam się już do grona staruszek, bo za kilka dni skończę lat 17, więc może zechcesz pisywać do mnie. Ale chociaż dożyłam już tak sędziwego wieku, jednak jestem małego wzrostu, co mnie bardzo martwi. Nazywam się Laura, mieszkam na wsi niedaleko Krzemieńca. Drogie, Cairo i Wiochno z pod Lublina! Wasze powiastki bardzo się podobają memu siedmioletniemu braciszkiowi. Donieś mi dawna Topolko z Żytomierza przy której ulicy mieszkasz, oraz pierwsze litery twego nazwiska. Przesyłam wam serdeczne uściski i proszę nie zwlekajcie z odpowiedzią. *Pokrzywa Wołyńska z nad Horynki*.

N. b. Pokrzywy wołyńskie nie parzą.

Droga Jodelko z nad Noteci! Dziękuję ci serdecznie za miły listek. Życzenie twoje co do spotkania się ze mną jest także i mojem życzeniem. Czy mieszkasz w Warszawie? Jeżeli tak to donieś mi na jakiej ulicy? Czy znasz ogród pomologiczny? Pseudonim Czarodziejki już zmieniłam, i zowią się teraz *Złotą Pszczółką*.

Kochana Córo Mazurów! Podobał mi się bardzo twój pseudonim i chciałabym do ciebie pisywać. Mam na imię Marya, kończę rok 10-ty, mieszkam w gub. radomskiej. Proszę cię donieś mi gdzie mieszkasz i ile masz lat. Czekam z upragnieniem odpowiedzi. *Listek bzu*.

Kochana Ogrodniczko! Przeczytawszy twój listek zgłaszam się do ciebie. Na imię mi Iza mam lat 10, jestem żywą i czasem sprzeczną, mieszkam na wsi, uczę się w domu, najlepiej lubię muzykę. Jako ogrodniczka, donoszę że mam ogródek, a w nim oprócz warzywa trochę kwiatków. Przez sympatyę dla ciebie jako Ogrodniczki, wybrałam pseudonim Lilijki. Ściskam cię serdecznie, odpisz *Lilijce z nad Bzury*.

Drogie moje Biała Ostróżko, Jemiołuszko, Czeska Niezabudko, Królowo wrózek, Rybko z Hniłopiaty i Główko cukru! Wybaccie mi, że tak długo nie odpisywałam na wasze serdeczne listki, ale jak pewnie wiecie, nie jestem już w domu ale na pensyi we Lwowie i czasu mam bardzo mało. Tobie, Biała Ostróżko, donoszę, że mam ośmioro rodzeństwa, i że czytałam „Pamiętnik chłopca“. Wam, miła Jemiołuszko, Gałazko paproci, dziękuję za miłutki listek. Chętnie też pisywać będę do Cichj wody. Na imię mi Karolcia, mam lat 15. Czeska Niezabudko, rzeczywicie pseudonim mój zgodny jest z mojem usposobieniem, chociaż bywam wesołą. Tobie Królowo wrózek, dziękuję za list. Niezapominajko z Zacisza, bardzo mię ujęłaś za serce twym listkiem, chociaż zbyt pochlebnie wyraziłaś się o mnie. Czy cię Burzliwa Naturo już rączka nie boli? Rybko z Hniłopiaty, donieś mi gdzie się uczysz we Lwowie i gdzie mieszkasz, bo i ja tu się uczę w szkole im. Elżbiety, a mieszkam na Akademickiej. Drogie staruszki, czy zechcecie mię przyjąć do waszego grona? Ściskam was wszystkie serdecznie, a nie zapominajcie o waszj *Cichj Wodzie*.

Drogie: Złota Pszczółko i Ukrainko na Mazowszu! Dzięki serdeczne Pszczółeczko, za przesłane mi życzenia. Musisz być bardzo pracowitą osóbką, kiedy taki obrałaś pseudonim. Czemu zmieniałaś pseudonim? Donieś mi, proszę, co o sobie, za co bardzo będę wdzięczną. Sympatyczna Ukraineczko na Mazowszu, czy zechcesz ze mną korespondować i udzielić bliższych szczegółów o sobie? Marzę żeby kiedykolwiek w te strony pojechać gdzie mieszkasz. Serdeczne uściski przesyła *Sarenka*.

Czekając odpowiedzi przesyła wam drogje siostrzyczki, serdecznego całusa *Topolka srebrna*.